

# WYCIECZKA DO KANADY.

(Dokończenie).

W pierwszej podróży, pan Duvergier de Hauranes zwiedził zachodnią stronę Kanady, jeszcze dziką, pokrytą lasami, które są głównem źródłem jój bogactwa. W drugiej bawił czas niejaki w dwóch najznacniejszych miastach téj posiadłości angielskiej, w Montrealu i Kwebeku, poznał średnie oświecześniejsze klasy i mógł ocenić polityczne położenie téj krainy.

*Portland, 11go października.*

Portland leży na północ Bostonu, w Stanie Maine; jest to piękne miasteczko zbudowane na półwyspie; ratusz, stojący otworem dla każdego przychodnia, ma kopułę, na którą weszliśmy, nie potrzebując ani kluczy odźwiernego, ani nudnej gadaniny opowiadacza. Nie ma w Ameryce tych próżniaczych pasibrzuchów, którzy odsłaniają obrazy, albo otwierają drzwi od kaplic i wież kościelnych. Z wierzchołka kopuły, widok rozciąga się na wszystkie strony; na przepyszną zatokę, gdzie największe okręty zawijać mogą, na miasto wesołe, czyste, obsadzone klonami, a dalej na pola różnobarwne, ograniczone w dalekości pasmem błękitnem gór białych. Odjeżdżam koleją żelazną, prowadzącą do Montrealu.

*13go października.*

Mamy zupełną jesień, zimno, deszcz i pochmurne niebo. Tak pod fizycznym jak i pod moralnym względem, zamykam się w sobie, a jak ludzie skupiają się w zimie przy kominku, tak i ja zwracam myśli do opuszczonej domowej zagrody. Nie bardzo jest wesoło, chociażbyśmy nazwyczaili

się do podróży, siedzieć przez piętnaście dni we wspólnej izbie w oberży, usiłować napróżno rozgrzać ciało i myśli, słuchać wśród cichej nocy jesienniej, jednostajnego plusku deszczu, albo odgłosu zegarowego wahadła.

Ale gdzież jestem? zapytacie się. W Sherbrooku, miasteczku Dolnej Kanady, na stacyi wielkiej kolei *Grand Trunk-railway*, dokąd przybyłem przeszłej nocy, z Portland przez Gorham, u podnóża góry Washington. Przykre zimno panuje w tej okolicy. Od Portland do Gorham, kraj coraz jest mniej ludny, a to im bardziej zbliżamy się do Kanady. Zrazu są to zwykłe krajobrazy nowej Anglii, lasy już przerzedzone, piękne rzeki, a dalej nagie równiny, tu i owdzie wioski, za niemi kraj górzysty, najeżony pasmem skał, między którymi przedzierają się potoki, albo rozciągają się samotne jeziora, knieje jodłowe i modrzewiowe, nareszcie wielkie góry, do których wjeżdżamy przez dolinę rzeki Androscogin. Krążymy potem ciągiem dolin pustych i posępnych, zimny wiatr zapadający w ich wnętrze, przenika nas aż do kości. *Wielki Trunk* jest to najpowolniejsza i najnagorzej utrzymana ze wszystkich dróg żelaznych na całym świecie. Od miasta Portland do granicy Kanadyjskiej, kompania wysyła jeden tylko pociąg na dzień. Trzy miesiące temu, nie daleko Montrealu, wszystkie wagony napętnione wychodźcami, wpadły w rzekę, na parowiec przechodzący w tej chwili. Mechanik nowo przyjęty i nieświadomy, nie zrozumiał znaków, ostrzegających że most na rzece jest otwarty. Innego dnia, o mało nie powtórzył się ten sam wypadek. Wysadzenia wagonów z kolei, zdarzają się prawie codzień, a spółka wstrzymuje się z naprawą, dopóki kolój nie zepsuje się do ostatka. Tym razem, cały pociąg towarowy spadł z wysokości grobli. Nikt nie postradał życia, lecz musieliśmy przez dwie godziny czekać w głębi pustego wąwozu, wygłodniali i wskrósł przeziębli. O sto kroków przed nami, rozlegał się huk młotów i błyszczały czerwone ognie. Siedm czy ośm wagonów leżało na stoku, a z ich rozbitych boków, wypadały skrzynie i beczki. Dziwne zaiste widowisko w takiej pustyni!

Odjechaliśmy nareszcie. Usiadłem naprzeciw dwóch mieszkańców Stanu Maine, którzy na mojej ławce oparli swoje zabrudzone buty. Jeden z nich, młody człowiek, przez grze-



czność nazywał mię kapitanem (tytuły wojskowe są w Ameryce znakiem uszanowania) i okazywał mi wielką uprzejmość. Niespodzianie, duży but zabłocony opiera się o wysłaną poręcz mojej ławki, tuż przy mojej głowie, a później druga noga toż samo czyni. Cóż się to znaczy? Czy kto zwadę chce wszczynać? Bynajmniej. Mój to grzeczny towarzysz, wylegał się w pozycyi ulubionej Amerykanom. Zdziwiłby się bardzo, gdybym był odrzucił te dwie miłe sąsiadki, które prawie dotykały się twarzy mojej; a przytém taki mnie śmiech porwał, iż się gniewać nie mogłem.

Pytają się, dla czego wyższe klasy w Stanach Zjednoczonych są nieczynne i bezwładne? bo także mają głowy pochwycone w kleszcze demokracji.

Wysiadłem w Gorham. Jest to miasteczko biednie wyglądające, ale żadna oznaka rzeczywistej nędzy nie wyjaśnia nam tego smutnego pozoru. Z okien obszernego hotelu widzę góry Webster, Jefferson, Adams, Madison, Jackson i wiele innych, otaczających olbrzyma, a raczej bożka tych gór, uczczonego Waszyngtona nazwiskiem. Lecz chmury już go zakryły, a świetne promienie jutrzeńki, wkrótce może zamienia się w zamieć śniegową. Mimo tego, wyjeżdżam na te góry lekkim powozem, wynajętym od oberżysty. Jakiś dżentleman jest moim pomocnikiem; ten mój towarzysz wyjmuje cygaro, pyta się czy pałę i czyli dym tytoniu nie będzie przykrym dla mnie. Nie wiem doprawdy, kto jest ów tak grzeczny jegomość i dopiero wieczorem wyjaśniło się wszystko, gdy tenże sam dżentleman wziął mój mantelzak, zaniósł go do kolei żelaznej i podziękował za dolara, którego mu wcisnąłem w rękę.

Jesteśmy w dzikiej dolinie, przeczniętej pięknym i czystym potokiem, i zawartej ogromem góry Washington. Wskazano mi, wyżej nad pasem lasów, czarną linią pośród śniegu. Jest to droga niedawno zrobiona, a prowadząca aż do wierzchołka góry. Zimny wiatr świszczę w obnażonym lesie, a zwiedłe liście spadają za każdym jego podmuchem. Glen—House, samotna oberża, nie zamieszкана w porze zimowej, stoi na łące, gdzie swobodnie pasą się konie. Niedźwiedź przykuty do słupa, przechadza się wkółko: zwierzę to jest w Górach Białych tém, czém gienza w Alpach. Długa droga idąca w góry przez lasy jodłowe, drze-

wa szronem pokryte, śnieg zawieszony na gałęziach, nareszcie strumienie lodem ścięte: oto jest cały krajobraz. W téjże chwili, gęsta mgła śniegowa otacza górę. Niepodobna objąć wielkiej panoramy jezior, zaledwie dojrzeć można lasów, rozciągających się w dolinie, jak świetny różnobarwny kobierzec. Nie szukałem czegoś więcej. Góry Białe nie uderzają ani ogromem, ani urozmaicheniem widoków; są tylko miłe i wesołe, przecięte mnóstwem drobnych jezior, skropione tysiącem strumieni i pokryte roślinnością, która na wiosnę zapewne jest bardzo przyjemna. W téj porze jesiennej, przybrały minę niegościnną, ponurą i ostrą.

*Montreal, 14go października.*

Ciągle mamy słotę i wichry. Wyrzekam się stanowczo jezior, gór, krajobrazów i jadę koleją żelazną do Montrealu. Zdumiała się służąca z oberży, gdy jej dał pieniądz srebrny; toż samo uczynił posługacz, gdy otrzymał trzydzieści soldów. To za wiele! zawołał prostodusznie i rozniósł wieść, że jakiś książę przejeżdżał przez Sherbrooke. Widać że tu ludzie nie są jeszcze zbałamuceni naciskiem podróżnych.

Kanadyjczycy dobrzy to ludziska; unosiłem się nad ich wrodzoną poczciwością i pokochałem tych wieśniaków, którzy ze mną razem stali pod wystawą domu kolei żelaznej, chroniąc się od ulewnego deszczu. Ale nie są przystojni; surowość klimatu odbija się w ich ubraniu, a nawet na ich twarzach. Gruba odzież wełniana, wielkie zabłocone buty, futrzane czapki, nadawały im odętą minę i przypominały mieszkańców Norwegii, albo Laponii. Francuzi żartowali jedni z drugich i bawili się jak dzieci w udane bitwy; inni poważniejsi i posępni, przechadzali się nic nie mówiąc. Jeden z nich, a był to Anglik, przystąpił do mnie i poprosił o ćwierć dollara na tytuń. Takąto zacność kanadyjską! Pierwszy to był żebrak, którego napotkałem w Ameryce.

Montreal, stolica Kanady, nie okazała ma postać; stare ale nie malownicze, nie wygląda na miasto mające więcej niż sto tysięcy ludności. Ulice są wąskie, na sposób francuzki, małemi chodnikami wyłożone, sklepy brzydkie, do wiejskich kramów podobne, domy niskie, biedne, jak w naszych miasteczkach. W téj jesiennéj porze, dachy z blachy



pobielanéj, wyglądają jakby śniegiem pokryte. Na domiar, morze błota zalewa miasto; począwszy od października, trwa do maja lub czerwca, i wtedy dopiero ulata zamienione w tumany kurzawy. Dzienniki sarkają, publiczność szemrze, a rada miejscowa naradza się; każdy chodzi po mieście w ogromnych butach i brnie w błocie prawie po kolana. Z dumą pokazywano mi dom *Parlamentu*, wielki budynek z szarego kamienia i *Victoria bridge*, sławny most tubularny, przez który przejeżdżałem od Sherbrooke: jest to olbrzymi tunel, długi na trzy ćwierci mili francuzkiéj, bo taka jest w tém miejscu szerokość rzeki Sgo Wawrzyńca. Olbrzymie mury, podobne do piramid, dźwigają tę masę; dzieło to kosztowało 35 milionów fr. W zimie lody zawałają rzekę i dopóki nie zbudowano tak olbrzymiego i kosztownego mostu, Montreal było przez cztery miesiące niedostępne dla dowozu towarów i żywności.

*Kwebek, 17go października.*

Chciałem w Montrealu doczekać się pogody, lecz szare chmury toczyły się jedne za drugimi i drobnym deszczem spadały na ulicę i tak już będące bagniskami. Góra królewska, z kąd pochodzi nazwisko miasta, mgłą pokryta, wydawała się jakby jakaś nieokreślona masa. Pocóż tam jechać, żeby nic nie zobaczyć? Poco zwiedzać wioskę indyjską Caghnawaga? Na co nareszcie napróżno siedzieć w Montrealu? Popłynąłem więc do Kwebeku statkiem parowym. Mogłem przynajmniej, stojąc na pokładzie, obaczyć groblę i port miasta, którym nie zbywa na pewnej okazałości. Jest w Montrealu ratusz uwieńczony kopułą, a w porze zmroku, cienie i światło, wrzawa w porcie, ruch na rzece, okazują że to nie jest miasto prowincjonalne. Montreal zbudowane na wyspie, przy zbiegu wielkich dróg rzecznych całego kraju, jest naturalną stolicą i ogniskiem całej Kanady. Niezmiernie szybki wzrost ludności, dowodzi, że go liczyć nie można do rzędu sztucznych osad, które pozakładano we wszystkich częściach świata. Budują tam corocznie pięćset, a może i sześćset domów. Może lepiej uczyniłby rząd angielski, gdyby zamiast przenosić ognisko administracyi do pustego miasta Otawy, dokąd w porze zimowej dojechać w żaden sposób nie można, umieścić je w Montreal, gdzie łączą się

dwa żywioły ludności Kanady, francuzki i angielski. Wybór stolicy jest rzeczą tém ważniejszą, że Anglia chce, jak to wiecie, zjednoczyć wszystkie swoje posiadłości Ameryki Północnej. Delegowani z prowincyi zebrali się teraz w Kwebeku, żeby zastanowić się nad planem nowej konfederacyi. Mieszkają wszyscy w tym hotelu gdzieś stanął; trzy lub cztery razy na dzień, woźny puka do ich drzwi i oznajmia, że nadeszła godzina posiedzeń. Wczoraj i mnie także poczytano za delegata i ostrzeżono o rozpoczęciu sessyi. Byłbym chętnie poszedł na nią, bo ci panowie zachowują najściślejszą tajemnicę i prócz kilku nic nie znaczących słów, nikt nie wie co uradzili. Chcą wprzód zgodzić się na jedno; lecz to nie mogło się ukryć, że większość delegacyi z całego kraju, jest za systematem federacyjnym. Wyras ten posiada taką potęgę i urok, że najsprzeczniesze interesa miejscowe, ustępują przed ideą ogólnego i niezawisłego rządu, dla wszystkich prowincyj angielskich w Ameryce. Anglo-Amerykanie, mają jedynie na celu, stawić czoło Zjednoczonym Stanom i wpływ ich zrównoważyć. Myśla pochlebia ich dumie, poniżonej pogardliwem politowaniem groźnych sąsiadów. Z zadowoleniem obliczają znaczną liczbę mieszkańców Kanady, cztery miliony dziś już wynoszącą, a która wzrastając jak teraz, podwoi się w ciągu lat dwudziestu. Mierzą także rozległość swoich posiadłości i łącząc do nich lodowate pustynie północy, niezamieszkane lasy Labradoru i prawie niedostępne puszcze strony zachodniej, z dumą wykazują, że powierzchnia ich kraju większa jest od Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Amerykanie zaś, spoglądają z dumnym pobłażaniem na usiłowania swoich sąsiadów, dążące do tego, żeby zostać wielkim narodem. Głoszą z zaufaniem, że związek prowincyi angielskich jest pierwszym krokiem do ich wcielenia w wielką federacyą Ameryki północnej. Takie przekonanie *Tankesów*, bardzo wpływa na to, że delegowani Kanadyjscy chcą usunąć wszystkie trudności i uśmierzyć miejscowe współzawodnictwa. Akadyanie, tak zapewne zwać się będzie ów nowy kraj, chcą pokazać Amerykanom, iż sami mogą się utrzymać i żyć w kwitnącym stanie. Mówią, że nadadzą centralnej władzy większą siłę, niż ta jaka jest w Stanach Zjednoczonych, że nauczeni smutnym przykładem sąsiadów bę-



dą umieli utworzyć rząd mądrzejszy i trwalszy. Nie można bezwarunkowo twierdzić, że wszyscy jednomyślnie tak mniemają. Odwieczna niezgoda między Wyższą i Niższą Kanadą, chociaż zatopiona w wielkim projekcie związku, jak pojedyncze walki w ogólnej bitwie, zostawiła ślady dotąd niezatar-te, a niechętni odgrają się tak samo jak dawniej, że przejdą na stronę nieprzyjaciół: to jest do Stanów Zjednoczonych. Niegdyś ognisko niechęci było w kraju zamieszkałym przez Francuzów; po ostatnim wybuchu, mądra i bezstronna polityka Anglii, uspokoiła wszystkich, przez nadanie dwom prowincjom oddzielnych zarządów i równego udziału w centralnym rządzie; lecz od lat kilkunastu, gdy francuzka, to jest Niższa Kanada pojednała się z Anglikanami, Wyższa zaczyna poruszać się i szemrać.

Przed laty dwudziestu, Wyższa Kanada nie dorównywała w ludności Niższej Kanadzie; dziś tak dalece ją przewyższa, że nie chce na równości poprzestać. Ze wzrostem bogactw, wzrosły także podatki. Żalą się więc, i to nie bez przyczyny, że tylko mają połowiczny udział w rządzie, kiedy ponoszą dwie trzecie części wydatków. Ztąd wynikają nowe zamieszania i wojna domowa w łonie prawodawczego zgromadzenia, pogroźki buntu, w gruncie rzeczy udane tylko, którym Anglia zawsze umiarkowana i zręczna, położyła kres, wnosząc wielki projekt powszechnego związku, będący dziś przedmiotem narady.

Niezwłoczny skutek nastąpił. Wyżsi Kanadyjczycy nieprzyjaźni Francuzom, którzy mówili, iż nie-zubożeliby nawet o dollara, gdyby ani jeden Francuz nie powstał w ich kraju, którzy okazywali na mappie jak nienaturalną jest granica teraźniejsza i chcieli za jezioro Ontario posunąć granicę Stanów Zjednoczonych, zaniechali tych hazardownych zamysłów, nie mających żadnego poparcia, od czasu wybuchu wojny domowej i przykrego położenia finansów w Stanach Ameryki Północnej, a groźby ich zamieniły się w ciche słowa. Niezaprzeczenie mieli prawdę za sobą, kiedy utrzymywali, że wszystko ich pociąga do handlowego ruchu rzeczypospolitej amerykańskiej: położenie miejsca, sąsiedztwo Stanów Zjednoczonych, a nawet te jeziora, które zamiast rozdzielania, tak bardzo ułatwiają związek między dwoma krajami, Nie ma wątpliwości, że byliby przechylił się na stronę

Stanów Zjednoczonych, gdyby samo tylko geograficzne położenie rozstrzygało tę kwestyę. Ich produkta nie idą długą i ciężką drogą, to jest rzeką Sgo Wawrzyńca, przez pół roku zawałoną lodami; lecz po kolejach żelaznych i kanałami, dostają się do nowego Jorku. Ale kształtowanie się ludów, innym prawom podlega, nie zaś tym względom materyalnym. Nazwyczenie i tradycye wiele tam znaczą. Przez to samo, że ludność prowincyi przez dwa lub trzy wieki odnosiła się w najważniejszych przedmiotach do jakiego politycznego ogniska, zawiązało się tysiące związków i powinowactw, które, chociaż niewidoczne, są silne i trwałe.

Nie bez żalu widzą Francuzi w Niższej Kanadzie, że stopniowo zlewają się w jedną całość z Anglikami. Kraina ta, dziś jeszcze, chociaż przez długi przeciąg lat skojarzyła się z Anglią, jest francuzka, bo przybywanie wychodźców nie zmieniło ani języka, ani obyczajów. Obstaje ona przy starych instytucjach, przy zabytkach feodalności, przy religii ojców swoich. Tego wszystkiego nie chce tknąć ustawa federalna; lecz zlanie się wszystkich drobnych narodowości, z których składać się będzie związek kanadyjski, załumi, prędzej czy później, dawny żywioł francuzki. A nareszcie, Niższa Kanada przychylając się do nowego związku, wyrzeka się swoich tradycyi; a kto był w tym kraju, ten wie jak bardzo mieszkańcy są do nich przywiązani. Kiedy Francya europejska burzyła przeszłość i puszczała się nowemi drogami, jej osada zamorska zachowała dawny duch monarchiczny i pod panowaniem Anglików dotrwała przy wszystkich starych zwyczajach, już prawie u nas zatraconych. Odosobnienie ochroniło ją od rewolucyjnego ducha; wzrastała sama przez się, nie wyrzekając się przeszłości, a wszystko co jeszcze pozostało francuzkiego w Kanadzie, należy do przedrewolucyjnego systematu. Rozumiemy więc, dla czego stara społeczność niechętnie nagina się do zmian w duchu angielskim zaprowadzanych.

A jednakże zezwala na nie, i prócz jednej koteryi przeciwniej, królowa nie ma wierniejszych poddanych, jak mieszkańcy Niższej Kanady. Prawie wszystkie arystokratyczne familie w Kwebeku, spowinowaciły się z Anglikami i mówią częściej językiem urzędowym, niżeli rodzinnym. Jest mnóstwo urzędników Francuzów. Dwóch panów przyjęło



mię bardzo życzliwie: pan Duval naczelnik wydziału sprawiedliwości i pan Tessier prezydent Izby wyższej parlamentu kanadyjskiego; obydwa, chociaż przywiązani do imienia i języka przodków, są najgorliwszymi stronnikami Wielkiej Brytanii. Toż samo powiadają o panu Tache i panu Cartier ministrach gabinetu kanadyjskiego, o panu Bellau prezesie izby deputowanych i wielu innych. Pan Taché należał w r. 1837 do powstania przeciw Anglii, a dziś jest pierwszym ministrem i otrzymał szlachectwo. Panowie Cartier i Macdonald, lepiej mówią po angielsku niżeli po francuzku. Ich współdziałaczem w kwestyach politycznych, jest pan Brown stały obrońca interesów Wyższej Kanady: krótko mówiąc, panuje ścisła zgodność między światłemi ludźmi obudwu prowincyi. Lecz jeżeli jest posiadłość angielska, którą przyciągają do siebie Stany Zjednoczone i grożą jej pochłonięciem, to zapewne nowo zaludniona kraina zachodnia, na wzór sąsiedni utworzona. Niższa Kanada utrzymując prawa swoje do niepodległości miejscowej, rozumie to, iż nie może pozostać odosobniona, że utworzenie wielkiego związku osad angielskich, jest dla niej niezbędną potrzebą, że bez tego poparcia, pochłonięta będzie przez Stany Zjednoczone i że nowo zamierzony związek będzie ją ochraniał, jako niepodległą społeczność.

Mieszkańcy Nowego Brunswiku, Nowej Szkocyi, wyspy księcia Edwarda i Nowej Ziemi, powinni uczuć, jakie korzyści spłyną na nich, jeżeli wyjdą z odosobnienia. Położenie geograficzne zapewnia im wyłączność handlu morskiego, od chwili, kiedy wspólne siły posiadłości angielskiej otworzą nowe drogi, w miejsce tych, któremi ich płody idą na targowisko Stanów Zjednoczonych; lecz słyszałem, że nie bardzo sprzyjają połączeniu się z Kanadą. Tak więc, stronnictwo amerykańskie, chociaż osłabione, nie upadło jeszcze, a gdy jego przeciwnicy mówią, że prawo przyciągania działać może w odwrotnym kierunku i pochłoniąć północne Stany Zjednoczone, to zapominają o tém, że małe ryby są pastwą wielkich, lecz nigdy nie zdarzyło się, żeby większe stały się pastwą małych. Mimo tego, wszyscy mają dobrą otuchę. Czy to ze szczerego braterstwa, czy ze wspólnej zazdrości, którą tchną ku Stanom Zjednoczonym, utworzył się moralny związek między wszystkiemi mieszkańcami pro-

wincyi angielskich. Jest mniemanie ogólne, że mądra polityka Anglii dokona zjednoczenia (1).

Kwebek jest miastem starém, zbudowaném na skale przy rzece św. Wawrzyńca, otoczonem zrujnowanemi fortyfikacyami. Dolne miasto ciągnie się nad brzegiem, obejmuje dzielnice handlowe i mieszkania klass uboższych. Dzielnica arystokratyczna jest w mieście wyższém. Do niej prowadzi droga kręta i stroma, przechodząca pod zaczernioną bramą. Na wierchołku, w ogrodzie, wprost rzeki, stoi obelisk, na którym Kanadyjczycy wyryli obok siebie dwa imiona nieprzyjacielskie, Wolffa i Montkalma. Po prawej stronie są wały cytaдели, panującej nad miastem. Zresztą nie ma kościołów, pałaców i pomników godnych uwagi, lecz położenie miejsca jest bardzo piękne. Z tarasu, który jest miejscem przechadzki, widać wdzięczny i spokojny krajobraz, port, rzekę, już to spokojną, już to wzburzoną za przypływem morza, w dalekości przylądki i zamglone góry, wielkie wyspy, okręty stojące w zatoce wioski i warownie rozproszone na przeciwnym brzegu. Wieczorem najmiłsza jest ta chwila, kiedy statki rybaków płyną w górę rzeki i cała ich flotylla rozciąga białe skrzydła w około wielkich okrętów. Ale cóż? patrzę na to wszystko w porze dżdżystej i smutnej; zaczynają mi się przykrzyć te błotne uliczki, te stare bramy na pół rozwalone, i domy bez żadnych ozdób, jakie napotykałyśmy w wsiach północnych krain. Taka posępność działa na umysł. To szczęście, że uprzejme przyjęcie i wzglądem powinien odpłacać się wzajemną uprzejmością temu staremu i pocziwemu społeczeństwu, które tak życzliwie przyjmuje Francuzów w ich dawniej ziemi rodzinnej, mimo woli wyprowadza mię z odrętwienia.

*21go października.*

Prowadzę tu życie bardzo rozerwane: bale, koncerty i wieczory nie ustają. Bardzo mi z tém dobrze, bo wszyscy okazują mi niezmierną życzliwość, a niektórzy nawet rze-

(1) Nadzieja te wkrótce potem speliły. Projekt związku upadł, skutkiem oporu prowincyi nadmorskich. Z téj przyczyny, stronnictwo amerykańskie nabrało otuchy i na prawdę zagraża stolicy Kanady. Zamiany Fenianów odnoszą się do tego stanu rzeczy.



czywistą przyjaźń. Już nie jestem cudzoziemcem. W domu pana D. gdzie ustanowił moją główną kwaterę, przyjęty jestem jak członek rodziny; przesiaduję tam całymi dniami, obiadam u nich i przepędzam wieczory. Wdzięczny także jestem za przyjęcie, jakiegom doznał od pana Gautier naszego generalnego konsula w Kanadzie. Zaprowadził mnie do gubernatora, lorda Monck, przedstawił w towarzystwach, zapisał do resursy i ofiarował mi serdeczną gościnność. Niedawno co przyjechałem, a już zamyślam odjechać; lecz mniemam, że w ciągu tych kilku dni, zjednałem sobie kilku wiernych przyjaciół.

Wczoraj byłem na obiedzie u wielkorządcy Kanady. Cóż mam powiedzieć o jego domu? Jest taki sam jak wice-króla Irlandyi: książęca okazałość pod względem etykiety, niezmierna prostota we wszystkiém inném. Nie ma tam nic takiego, czego byśmy nie widzieli w Europie. Wolę więc opisać ceremonialny wieczór u wysokiego urzędnika kanadyjskiego.

Nasz gospodarz jest człowiekiem skromnym, poufałym, bez wystawności i dumy, chociaż przechadza się pośród gości, w złocistym wyszywanym mundurze. Sam zachęca do zabawy i z miną poważną należy do kadrylów. Pani domu, już nie młoda, chodzi od gromadki do gromadki, gnuśnych zniewala do tańca, albo sama tańczy z urzędu, z taką samą niezachwianą powagą. Jest tam mnóstwo deputowanych i wyższych urzędników. Rozmawiałem z nimi i widzę, że w ogólności są to ludzie pełni prostoty, dobrotliwi, światli, mają ton trochę gminny, lecz bez żadnego śladu śmieszności i przesady. Nie przybierają uroczystej postawy, nie uważają stanowiska swojego za coś takiego, co by ich wywyższało nad innych, urzędowanie mają za czynność obowiązkową, nie za godność.

Poznałem się z najznakomitszym adwokatem tej prowincyi. Uczył się w Europie. Rzekł do mnie—iż dziwił się nadętemu tonowi adwokatów paryzkich; tu bronią spraw po prostu, jakby w rozmowach, i jeżeli takie są jego wywody prawne, jak opowiadanie w towarzystwie, to posiedzenia najwyższego trybunału, muszą być niezmiernie podobne do pogadanek na radzie gminnej. Ci ludzie za nic mają formę;

naszą jest rzeczą, wydobyć z ich wieśniaczych mów, przedmiot sprawy, gruntowne dowody, obronę lub zarzuty.

W towarzystwie miejskiem są dwa oddzielne prądy, które jak Rodan i Saona przez pół tylko mieszają się z sobą. Jeden bezpośrednio pochodzi z angielskiego źródła, odnawia się nieustannie napływem arystokracji angielskiej i wyższych wojskowych, jest pomniejszoną kopią społeczeństwa angielskiego: co się ma znaczyć, że jest oziębły, przyzwoity, formułkowy i sztywny. Drugi prąd składa stare franko-kanadyjskie społeczeństwo, podobne do mieszczaństwa w naszych ustronnych miastach, mało zajmujące się poważnemi przedmiotami i myślące tylko o zabawach, jakto było za dawnych czasów. Dla tego téż, na balach towarzystw katolickich, tegoczesne skoczne i wirujące tańce, są jak najsurowiej wykluczone; tańczą tylko same kadryle od dziewiątej wieczorem, do drugiej rano, lecz z zajęciem, z zapałem i z niewymowną wesołością. Młodzi i starzy zarówno do nich należą, babki tańczą z wnuczkami; siwowłosi i w perukach, nie wstydzą się zabaw. Jedzą jabłka i piją piwo, zamiast wystawnych wieczerzy; rozmawiają o balu wczorajszym i jutrzejszym, o wpływie komety i księżyca na pogodę i głośno mówią, że zabawa powiodła się jak najlepiej.

To wesołe i miłe towarzystwo, zaczyna mieć upodobanie w zbytku. Co wieczór odbywają się przejażdżki powozami lub konno, w okolice miasta. Wszyscy się znają; czas przemija na przechadzce po wałach, na wzajemnych powitaniach i odwiedzinach. Kanadyjczycy mówią, że zachowali dawne zwyczaje francuzkie: to prawda, że przynajmniej nie wygasła u nich dawna szczerza gościnność. Kiedy mówili do mnie, że jeżeli na dłużej pozostanę w Kwebeku, zamiłuję tę społeczność, najmielszą, w najlepszym tonie i najdowcipniejszą na całym świecie, zdawało mi się, że słyszę echo odbite od jednego z tych żywych cmentarzy prowincjonalnych, gdzie stary drobny świeatek jeszcze otrzasa ostatnie pyłki pudru, błyszczy ostatniemi ozdobami dworskich mundurów. Czyliż może być co innego? Jest to szczur, żyjący szczęśliwie w serze hollenderskim, a który nie zna nic lepszego.

Widziałem wodospad Montmorency: tworzy go wspinała rzeka spadająca jednym rzutem z wysokości dwustu



pięćdziesięciu stóp, do rzeki św. Wawrzyńca. Jest tak wysoki jak Niagara. Odbijając się ze skały na skałę, spływa na zieloną dolinę. Młyn i grobla zbudowane nad kaskadą, wstrzymują nurt, który potem zsuwa się w przepaść. Nieco niżej, domek wybudowany na wypuszczenie skały, o dwa kroki od zapienionej masy, panuje nad głębią, w której szalony wir toczą wody. W głębi widać zielonawą smugę rzeki, przez wyziewy wydobywające się z kaskady; lecz zimno było przenikliwie, trząsłem się i niedługo mogłem nasycić się tym krajobrazem. Tak długo zamglone słońce, dziś łagodnie jaśniało między lekkimi obłokami. Nie cieszę się jego widokiem, w moim pokoiku w hotelu św. Ludwika, z kądem okna wychodzą na podwórze do studni podobne. Ów hotel, jest to trzęsący się szalas z wązkami korytarzami, a każdy odgłos lunczy w nim nakształt gromu. Mój gospodarz okazuje mi też samą grzeczność i uszanowanie co korespondentom dzienników angielskich, znakomitym osobom i stawianym na równi z ministrem albo księciem. Jakoż, są to organa władzcy bardzo potężnego w Westminsterze i pałacu St. James, to jest opinii publicznej angielskiej. Kanadyjczycy bowiem szanują dziennikarzy i téj to potędze składają cześć swoją. I o moim także pobycie w Kwebek, doniósł uroczyście tutejszy dziennik. I ja też jestem ważną figurą i dziś wieczorem zaszczycę obecnością moją, bal miejski.

*22go października.*

Kanada przedstawia w obecnej chwili osobliwsze widowisko; metropolia chce jęj nadać rząd samodzielny, osada zaś nie chce go przyjąć w zupełności. Już oddawna pojęli to Anglicy, że systemat monopolu wycieńcza kolonie, a państwo musi czynić ciężkie wysilenia, żeby je podporać. Z tego powodu wyswobodzili handel Kanady i tylko zastrzeżli sobie mało znaczące korzyści i ogólny wpływ wynikający z ich stanowiska w Ameryce; lecz to nie wynagradza ciężaru opiekowania się tą osadą. W razie niebezpieczeństwa, opieka ta stanie się zbyt kosztowną albo téż niemożliwą. Idzie więc nie o posiadanie Kanady prawem panowania, lecz o jęj wzmocnienie, żeby sama obronić się mogła i zmiany rządu nie zapragnęła.

Obecnie roztrząsany projekt, jest zbliżeniem się do takiego stanu. Anglicy nie wyprowadzą wojsk swoich z Kanady, lecz zastrzegają sobie, że na wypadek wojny będą bronić samych tylko fortec. Na niezmiernej przestrzeni kraju, wojsko 15,000 ludzi liczące, nie może nic innego uczynić: a takie tylko siły chcą Anglicy zostawić w Kanadzie. Niechaj mieszkańcy sami się urządzają, niech wybiorą formę jaka im będzie najdogodniejsza, czy to prezydencyą wybieralną, czy też, co podobniejsza do prawdy, monarchią konstytucyjną pod wice-królem. Anglia nic dla siebie nie zastrzega, chce tylko być sprzymierzeńcem, opiekunem i przyjacielem nowego kraju. Że ta droga prowadzi do zupełnej niezależności, wszyscy to widzą. Anglii to wcale nie trwoży i ma tyle zdrowego rozsądku, iż pojmuje, że osady nie są niewolnikami, z których pracy możnaby ciągnąć wyłączny zysk, lecz małoletniemi, którym należy się usamowolnienie, jak dojdą do sił dojrzałego wieku. Ale dla wielu Kanadyjczyków, obowiązek własnej obrony wydaje się jako bardzo uciążliwy i chętnie przyznaliby Anglii większą władzę, w zamian za silniejszą wojenną opiekę.

Kwestya skarbową jest także trudną. Kanada ma wielkie źródła dochodu, lecz ma także dług publiczny; prowincye wschodnie mają mały dochód, ale bez żadnego długu. Muszą więc przyjąć ciężar długu kanadyjskiego, w zamian za nowe korzyści, które im Kanada przynosi, a ona wzajemnie musi poświęcić swoje kapitały, na przedsięwzięcia, które bez z nich nie przyszłyby do skutku. Dziś drogą Portlandzką najśpieszniej można dostać się do rzeki Śgo Wawrzyńca, do Nowej Szkocyi i do Nowego Brunświku, lecz potrzeba przejeżdżać przez Stany Zjednoczone. W zimie, kiedy rzeka Śgo Wawrzyńca zamarznie, to jest przez 5 miesięcy do roku, handel Kanady odbywa się wyłącznie drogą południową. Potrzeba zatem zbudować kolę żelazną od miasta Kwebek do Nowego Brunświku, przez pustynie dotąd niezamieszkane. Część téj drogi już zrobiono. Trzeba także odkupić przywilej kompanii zatoki hudsonskiej, właścicielki brzegów wszystkich wielkich jezior i zbudować kolej żelazną aż do oceanu Spokojnego; przez co otworzy się przystęp do pustyń zachodnich i zwróci się do nich napływ europejskich wychodźców. Zamiary te są dziś jeszcze przedwczesne i nie przyniosłyby



procentu od kapitałów na nie wyłożonych; ale prędzej czy później, uskutecznione być muszą.

Nareszcie religia stawia niejakię przeszkodę. W Niższej Kanadzie, kościół katolicki pobiera dziesięcinę, a duchowieństwo protestanckie w całym kraju, utrzymuje się tylko z darowizn, z dobrowolnych składek, z legatów i ze wsparcia od rządu. Jeżeli zaś zechcą poddać kraj pod jednostajne prawa, trzeba będzie znieść dziesięcinę, a w jej miejsce ustanowić opłatę regularnie rozdzieloną między duchowieństwo wszystkich wyznań; rzecz to dosyć trudna i drażliwa.

To prawda, że trudność większa wydaje się na pozór, niż jest w istocie. Dziesięcina w Kanadzie nie jest instytucją tak niesprawiedliwie ustanowioną jak w Irlandyi; zostało nazwisko, a rzeczy już nie ma. Prawnicy przyjęli zasadę, że od czasu podbicia Kanady przez Anglików, ustał dla jej mieszkańców obowiązek płacenia dziesięciny; a jej oddawanie zależy od woli każdego. Duchowieństwo katolickie pobiera dziesięcinę, nie z prawa, lecz na mocy siódmego przykazania kościelnego i zależy to od uznania każdego katolika. Kto więc oświadczy że nie jest katolikiem, ten wolny jest od opłaty; działanie prawne duchowieństwa przeciw niepłacącym, ustaje w obec takiego oświadczenia, a władza świecka udziela pomocy kościołowi, jedynie tylko przeciw jego wyznawcom. Można więc powiedzieć, że kościół katolicki w Kanadzie, jest instytucją uprzywilejowaną, lecz nie nakazującą, jest pewnym rodzajem dobrowolnego stowarzyszenia, które członkom swoim naznacza nie wielkie obowiązki i wymaga ażeby je wypełniali, dopóki do niego należą, lecz pozwala usunąć się od nich, jeżeli wyrzekną się swoich zasad.

Nie jestże to bardzo ważna przemiana? Okazuje się z niej, że duch tegoczesny może zachować dawne zwyczaje i podania i wcielić się w formy feudalne. Odwieczny przywilej zmieniał się w dobrowolną składkę, a to bez gwałtownego wstrząśnienia, bez zaburzeń, jedynie przez uznanie dwóch nowych idei, niezależności osobistej i wolności sumienia. Chociaż więc nazwisko dziesięciny nie zgadza się z tegoczesnymi wyobrażeniami, kraj ten używa religijnej swobody, nieznaniej w Europie; każdy opłaca bez przymusu składkę na utrzymanie kościołów i duchownych swego wyznania.

Zwyczaj więcéj znaczy niż instytucya. Nie zdarzyło się, żeby jaki ksiądz wytoczył sprawę o zapłatę 26-jej części dochodu, która mu się należy tytułem dziesięciny. Ksiądz kanadyjski, nie jest, jak duchowny angielski, wytwornym dżentlmanem, któremu wielkich dochodów potrzeba; jest to syn wieśniaka, przestaje na małym, zwalnia tych od opłaty którzy jój wnieść nie mogą, a trzy czwarte dochodu swego obraca na miłosierne uczynki, albo na pożyteczne prace. Duchowieństwo nie jest tu gnuśną arystokracją, marnującą na zbytki uposażenie swoje, ale czynnym działaczem cywilizacyi, również zajmuje się materyalną pomyślnością wiernych jak ich i moralnym postępem. Księża założyli i utrzymują większą część tych osad, które co rok posuwają granice ziem zanieszkających i trzebią lasy. Cywilizacya Kanady posuwa się nie przez śmiałe wyręby w pustyniach, bez związku jednych z drugimi, jak to dzieje się na zachodzie Stanów Zjednoczonych, lecz przez powolny i ciągły postęp. Osadnik amerykański wycina lasy, stawia domy, uprawia rolę, a wkrótce potem sprzedaje swoją osadę i na przód posuwa swoje awanturnicze prace. Przeciwnie Kanadyjczyk, tam umiera gdzie się osiedlił, na roli którą dobył i uprawił własnymi rękoma; lecz każde nowe pokolenie posuwa się o krok dalej i tak podboje rolnicze ciągną się przez długie lata, a z każdym pokoleniem tworzy się rząd nowych parafii. Duchowieństwo i plemie francuzkie w Kanadzie, ma na celu pomnażać osady rolnicze, powściągnąć wychodztwo do Stanów Zjednoczonych, pomnażać ludność krajową, a tém samém umacniać swoją powagę. Działanie to, połączone jest z jak największą tolerancją religijną; nie ma tu zacieklej walki o nawrócenie różnowierców; każdy sprząta własne żniwo, szanując pole sąsiada. Jako przykład téj dążności, przytoczę założenie uniwersytetu w Laval kosztem katolików, do którego przyjmują uczniów wszelkich wyznań, a professorami są katolicy i protestanci. Zakład ten kosztował przeszło 2,000,000. a na jego utrzymanie wydają corocznie znaczną summę. Uczą tam prawa, sztuki lekarskiej, filologii i literatury, umiejętności i teologii, wydają dyplomata akademickie. Większa część professorów uczyła się w Paryżu, wysłano ją w tym celu do Europy. Nauka prawa ciągnie się przez lat trzy, a medycyny przez lat cztery, examina odbywają się



często i ściśle. Rektor tego uniwersytetu, ksiądz Tasche-reau, który mi raczył towarzyszyć przy zwiedzaniu tego instytutu, żalił się, że uniwersytetowi w Laval czynią wielką szkodę, szkoły po amerykańsku urządzone, owe fabryki dyplomatów, gdzie można w ciągu kilku miesięcy przebieść kursa i patent otrzymać. W szybkim pędzie cywilizacji amerykańskiej, powodzenie nie jest owocem gruntownej nauki, ale śmiałej czynności: idzie więc nie o dobre, lecz o prędkie działanie i dla tego téż, częstokroć młodzież porzuca uniwersytet katolicki w Kwebeku, dla protestanckiego w Montrealu.

Toż samo co o dziesięćcinach, powiedzieć trzeba o zabytkach feodalności w Kanadzie. Amerykanie wspominając o instytutach kanadyjskich, powstają na ciemnotę i tyranstwo. Z ich słów wniesłoby można, że mieszkańcy Niższej Kanady znoszą jeszcze wszystkie uciski z wieków średnich. Był niegdyś powszechny zwyczaj, że z gruntów na wieczny czynsz ustąpionych, opłacano dzierżawę przy każdej sprzedaży, 12 od sta panu zwierzchniczemu. Zgromadzenie prawodawcze, po długich rozmyślaniach i sporach zniosło zupełnie, na teraz i na przyszłość, ten gatunek feodalnej dzierżawy. Wynagrodzono jak było można dawnych panów, którzy na tém znaczną stratę dobrowolnie ponieśli. Tak samo jak w prawie francuzkiem, z umowy między panem a wazalem, zrobiono zupełną, nieograniczoną sprzedaż posiadłości. Tak więc, owa feodalność, tak oburzająca demokratów, nie ma dziś żadnego znaczenia.

Chciałbym naostatek udzielić jakich wiadomości o nauczaniu publicznem w Kanadzie, zupełnie różniacem się od systematu amerykańskiego i od naszego; a które podług zdania mojego połączy w sprawiedliwym rozmiarze, prawa działalności miejscowej z wdaniem się władzy państwa. Opłata szkolna ściągana od własności gruntowej i od każdego dziecka, bez względu czy chodzi, czy nie chodzi do szkoły; obowiązek nałożony na każdą parafią, żeby sama wybrała komitet, któryby oznaczył wysokość opłaty i wybrał nauczyciela; prawo i obowiązek wdawania się rządu w te wszystkie czynności, jeżeli im parafia zadosyć nie uczynią; pomoc ze strony rządu wyrównywająca kwocie jakiej parafia dobrowolnie albo z musu dostarczyła; rezerwowy fundusz dla pa-

rafi ubogich: oto są w kilku słowach główne cechy tego systematu.

We wszystkich instytucjach kanadyjskich zasługuje na uwagę specyalność i miejscowe użycie opłat. Każdy płaci na miejscowe potrzeby i swoim własnym deputowanym, sumę na zgromadzeniu uchwaloną. U nas przeciwnie wszystko zbiera się w skarbie i rozdziela się na kraj cały. W Europie rząd jest jak słońce, które wyciąga wilgoć z ziemi, a potem ją zwraca w postaci deszczu. Nie przeczę że to jest pięknie i systematycznie: lecz mieszkańcy nie widząc bezpośredniego użytku z opłat swoich, uważają podatek za ciężar, a jego dobrodziejstwa za obowiązek.

Dziś rano poszedłem do Lorette, wioski indyjskiej, żeby zakupić od naczelnika pokolenia (który jest Francuzem tak białym jak ja) zbiór drobiazgów roboty krajowej. Plemie czerwone znikło przez zetknięcie się z białymi, i coraz bardziej przerodziło się na Francuzów, tak, iż ledwie kilka nieznaczących zarysów pozostało. Mimo tego, Huronowie w Lorette mają swoich naczelników i rzecz dziwna, po dwóch wiekach cywilizacyi, jeszcze nie zajęli się wyłącznie rolnictwem. Obok uprawy roli, polowanie, drobne ręczne roboty, zabierają im nie mało czasu; robią czółna, koszyki, ciżmy haftowane, wachlarze z piór i wielkie łyżwy czyli podkłady do ślizgania się po śniegu. Zaopatrzyłem się w te wszystkie przedmioty.

Jest w Lorette ładny wąwoz i kaskada; ale jęj widok tak miły w lecie, wstętu we mnie obudza w porze zimnej i dżdżystej. Przeprawiam się na drugą stronę rzeki Ś-go Karola i idę przez wioski rozsiane po drodze. Wieśniacy, w czerwonych czapkach wełnianych, z rydłem na ramieniu, ociężałym krokiem wracają do domów. Mgła snuje się w dolinie, zachodzące słońce rozpościera krwawe potoki światła na czarnych obłokach, a wprost mnie na wzgórzach, wieże Kwebeku iskrzą się przy ostatnim połysku słońca i występują z łona mgły, jakby cudowne zjawisko.

*24 października.*

Pozwólcie, że wam powiem o przyrodzie téj krainy, bo nie mam nic ważniejszego, a deputowani nie mówią ani słowa o przedmiocie narad swoich. Wczoraj pojechaliśmy do ka-



skady, chociaż to była niedziela, dzień systematyczny wypoczynku i dobrowolnych nudów. Podróżni nie mogą tracić czasu. Namówiłem więc furmana i ujechaliśmy pięć mil francuzkich, z wielkiem zgorzeniem i gniewem naszych hotelowych sąsiadów, którzy liczyli na to, że im pomogę do rozweselenia nudnych godzin.

Statkiem parowym przewiozłem się na drugi brzeg rzeki, gdzie przechodzi kolój żelazna z Montrealu. Wszystkie te okolice są wesołe i ludne, chociaż ziemia nie odznacza się żyznością. Przejeżdżając przez te wzgórkowate i piaszczyste pola, przez łąki ciągnące się w dolinach, myślę że prawie przez pół roku leżą pod śniegiem i dziwię się dobremu bytowi mieszkańców. Domy są białe, porządne, ogrodzone łącznie z pobliskiem polem, płotami z żerdzi. Kilka sztuk bydła i parę koni chodzi w tym okólniku.

Mieszkańcy są ubrani w świąteczne suknie; z ich twarzy widać że są weseli i szczęśliwi i pod tym względem nie ustępują przedsiębiorczym osadnikom nowój Anglii. Przyznać trzeba, że to zamyślanie spokojnego życia, które u ludu może być wadą, jest zaletą u pojedynczych osób. Kraj nie tak prędko wzrasta przez pracowite zdobycze rolnika, pochylonego ciągle nad tą samą rolą, jak przez zuchwałe przedsiębiorstwo ludzi łaknących złota. Jednakże długie wysilenia kanadyjskiego wieśniaka, nie są bezowocne, a chociaż kraj nie jest tak bogaty w ogólności, za to porządek, wytrwałość i oszczędność, zapewnia dobry byt rodzinom, i przy ograniczonych środkach, lud jest szczęśliwy.

Kanada, choć uboższa od Stanów Zjednoczonych, jest bardzo malownicza. Szeroka rzeka Ś-go Wawrzyńca, płynąca pośród stromych i wyniosłych brzegów, sosnowe i brzozowe lasy rozpostarte pośród skał nadbrzeżnych, u ich podnóża wioseczki przyczepione do stoków bardzo spadzistych; inne pomniejsze rzeki zawarte w dzikich wąwozach i wpadające do bezpiecznych zatok, wzruszanych samym tylko przypływem i odpływem morza, drogi idące przez lasy, wzgórze i doliny, z obu stron otoczone pasmami ciemnych jodeł a w dali zamknięte zarysem gór błękitnych: wszystko to nosi cechę wielkości pośepnej i surowej, a mimo tego uroczej. Rzeka Chaudière należy do niezliczonej liczby potoków, któ-

re wpadają do rzeki Ś-go Wawrzyńca. Na małą skalę podobną do Niagary, wyżłobiła sobą wąwóz pośród wzgórzów i spada prostopadle z wysokości kilkunastu sążni, a potem toczy się między stromemi brzegami. Z góry widać ten cały krajobraz, kręty bieg potoku i wieniec ciemnych gór, panujących na widokregu. Spadek nie jest znaczny, lecz masa wody i białe wyziewy, od których zapewne powzięła nazwisko, a mianowicie piękny obraz skalistych i lasami porośłych brzegów, pociąga i zachwycza miłośników dzikiej natury.

Za powrotem wstąpiliśmy do wiejskiego domu, na chleb i mleko. Czy jesteś Francuzem, czy Anglikiem? zapytałem wieśniaka. Jestem panie Kanadyjczykiem, rzekł. Znacząca ta odpowiedź wykazuje, jak bardzo mamy mylne wyobrażenie o potomkach francuzkich osadników w Kanadzie. Widać, że dwa plemiona łączą się coraz bardziej i chętnie zlewają się w jedną narodowość, że dziś współubieganie toczy się nie o język, lecz o interesa tych dwóch prowincyj.

*Montreal, 28go października.*

Deszcz prześladowuje mię uporczywie. Wyjechawszy wczoraj z Kwebeku, w liczniem towarzystwie, natrafiłem na taką samą ulewę, jak przed dwoma tygodniami. Główny hotel zbankrutował, jest zamknięty, w innych pełno gości i ledwie znalazłem mieszkanie. Dziś wieczór jest bal na cześć delegowanych, którzy podług zwyczaju amerykańskiego odbywają narady, przejeżdżając z miasta do miasta, z jednej uroczystej zabawy na drugą i prowadzą za sobą połowę wyższego towarzystwa Kwebeku.

Zdaje się, że redaktorowie ustawy trzymać się będą wzoru instytucji angielskich. Wojna domowa w Stanach Zjednoczonych wzbudza obawę i niechęć przeciw połączeniu Kanady z ich groźnemi sąsiadami. Onato dodaje im odwagi, do stawiania oporu przeciw temu, co w gruncie rzeczy uważają za rzecz niezbędną; gdyż przyłączenie poszło tylko w odwłokę, lecz myśl o niem nie upadła. Kłopoty i przykre finansowe położenie Ameryki, są jedyną ochroną Kanady. Pomimo stosunkowego ubóstwa i corocznej przewyżki wydatków nad dochody, Kanada może jeszcze z korzyścią



stawić swój dług, wynoszący 400 milionów, przeciw nieprzeliczonym miliardom długu Stanów Zjednoczonych. Uzbrojenie milicyi wiele ją kosztuje, lecz pod tym względem Stany Zjednoczone ponoszą jeszcze większe wydatki. Kanadyjczycy w ogólności nie bardzo sprzyjają swoim sąsiadom i życzą sobie, żeby ich niezgody nie ustały; lecz zdaje się, że skoro tylko zakończy się wojna, a dług Amerykański zostanie unieważniony, albo spłacony, znowu powezmą tę myśl, że połączenie wyszłoby na ich korzyść. W gruncie rzeczy, nie wyznając tego przed nikim, ani może przed sobą samemi, czują to, że obecny projekt organizacyi rządu, wynika z potrzeby złączenia się z wielkim Związkiem Amerykańskim. Jakkolwiek pragną utrzymać swoją drobną samodzielność, jakkolwiek uwielbiają roztropne postępowanie rządu Wielkiej Brytanii, przecież nie mogą zaprzeczyć, że sztuczny jest ich związek z metropolią, daleko za morzami położoną, kiedy mają tuż przy sobie lud jednoplemienny i kraj jeden z najbogatszych i największych na całym świecie.

Niegdyś, kiedy wzajemna wyłączność handlu wiązała Anglią z jej osadami, Kanadyjczycy mogli łudzić się mniemanem korzyściami związku, który w istocie był ich zgubą. Dziś, kiedy połączenie handlowe Stanów Zjednoczonych i Kanady już oddawna nastąpiło, rzeczywistość bije w oczy. Na 45 milionów dolarów rocznego dowozu w r. 1863, 23 miliony pochodziły z Stanów Zjednoczonych a 22 ze wszystkich części świata. Na 37 milionów dolarów wywozu, 20 szło do Stanów Zjednoczonych, a 17ście do innych krajów. Ludność emigruje tak prędko jak i wzrasta, szuka w Stanach Zjednoczonych droższej zapłaty, lepszego życia i obszerniejszego pola do działań swoich. Mała osada francuzka, od stu lat opuszczona przez jej kraj rodzinny, wzrosła z 65,000 dusz, do miliona i nie straciła żywotności swojej. Pełno jej w całej Ameryce: zaludnia Meksyk, La Plata, Antylle, zapełnia szeregi wojsk amerykańskich południa i północy, ale już nie powiększa się w Kanadzie, a przyrost wychodzi do innych krajów.

W r. 1863, emigracya z Kanady wzrosła o 17ście na sto, w porównaniu z emigracją roku 1862, a w 1864 większa jest o część trzecią od tej, jaka była w roku poprze-

dnim. Franko-Kanadyjczycy, gdyby nie byli przywiązani do swoich zagród ojczystych, to ich ludność przerzedzałaby się jeszcze prędzej. Rolnictwo trzyma się starej rutyny i wcale nie wzrasta. Dziś jeszcze o mil ośm francuzkich od Kwebeku, już się zaczynają pustynie. Ziemia nie ma wartości, gdyż nie można wywozić jęj płodów. Drogi są w małej liczbie, złe i obciążone znaczną opłatą. Ztąd wynika, że kiedy jest aż nazbyt wiele produktów na wsi, a rolnicy muszą je zbywać za bezcen; to w wielkich miastach jest prawie taka sama drożyzna jak w Anglii. Kwebek postradał dawniejsze znaczenie handlowe. Kanały Stanu Nowego Jorku odjęły mu handel idący przez wielkie jeziora; a koleje żelazne Stanów Wschodnich, ściągają wszystek ruch do portów amerykańskich, przystępnych w każdej porze roku. W miarę powiększania i ulepszania środków komunikacyi, handel Kanady porzucać będzie drogi północne, które niegdyś były jego jedyną drogą. Można powiększyć liczbę kanałów i kolei żelaznych do Nowego Jorku, Bostonu i Portlandu, lecz nikt nie poradzi lodom, które przez pięć miesięcy zawałają ujście rzeki Sgo Wawrzyńca. Po kanałach Nowo Jorkskich płyną łodzie, mające ładunku 210 tonnów, przez co koszt transportu zmniejszyły się tak dalece, iż marynarka kanadyjska upaść musi.

Przewidują więc, pomimo zaufania tutejszych obywateli, że Kanada odosobniona, nie ma świetnej i postępowej przyszłości. Połączenie ze Stanami Ameryki, przyniosłoby jęj niezliczone korzyści, zyskałaby wolny handel, targi zapewnione, dobre drogi, koleje żelazne, kanały. Niezwłocznie założonoby mnóstwo rozmaitych fabryk: bo zapłata robotnika znacznie tu jest mniejsza; nareszcie ludność ściągaby się do tęg krainy, nie zaś z nięj wychodziła. Nowe życie wpłynęłoby w to ciało, zatrzymane w rozwoju swoim. Czują to Kanadyjczycy, lecz milczą; Amerykanie rozgłaszają tęg myśl na całe gardło.

Kanada jest w istocie krajem zależnym od Stanów Zjednoczonych: bez tych sąsiadów zarazem dobroczynnych i groźnych, nie miałaby widoków na przyszłość. Nie może utrzymać swojej niezależności, obok tego stu-ramiennego olbrzyma, jeżeli nie utworzy potęgi, któraby z nim równoważyć się mogła. Otóż więc, nawet najwięksi nieprzyjaciele



Stanów Zjednoczonych, czują, że to jest rzecz trudna i prawie nie możliwa. Nawet przymierze i opieka Anglii nie brońaby Kanady przeciw Stanom Zjednoczonym. Anglia mogłaby tylko przysłać tam wojsko, któreby wyginęło, albo poszło w niewolę, aż do ostatniego człowieka. Czyliż w zimie nie potrzebuje się posługiwać zatoką Portlandzką i tam zawijając ze swemi pocztowymi statkami, bo wówczas nie ma wprost przystępu do miasta Kwebek? Skoro tylko zechcą Stany Zjednoczone, to Kanada oddzielona od świata, ściśnięta zewsząd jak obleżone miasto, będzie musiała oddać się pod ich opiekę. Amerykanie są pewni, że jedna kampania wystarczy na podbicie téj krainy. Zamiar połączenia wszystkich posiadłości angielskich w Ameryce, rozdrażnia ich, gdyż go uważają jako zaporę przeciw nim wzniesioną; niechętném okiem patrzą na nowe cesarstwo Meksykańskie i na tworzenie współzawodniczego narodu w Kanadzie. Postępowanie Anglii podczas wojny domowej, jój życzliwość okazywana Stanom południowym, obudza w nich żądzę odwetu. Kanadyjczycy usiłują choć na czas niejaki odwrócić swoje przeznaczenie, chcieliby zadosyć uczynić interesom materyalnym, bez pozbycia się pociągu i wstrętu zasięgającego dawnych czasów; lecz wątpię czy będą mogli oprzeć się naturalnemu biegowi rzeczy.

W roku 1849 stronnicy połączenia się ze Stanami Zjednoczonymi, zawiazali w Montreal silne stowarzyszenie, pod naczelnictwem pana Benjamina Holmes członka parlamentu Kanady. Ogłosili manifest, a w nim wyłożyli wszystkie niedogodności związku Kanady z Wielką Brytanią. Metropolia, nie złączona z osadą żadném naturalném ogniwem, zniewala ją do życia w sporze i niezgodzie z krajem, do którego wszystko ją zbliża i przyciąga. Wyliczyli, jakimi środkami możnaby zaradzić upadkowi, który z powodu tego związku przeciwnego naturze, dotknął obie prowincye; były to: protekcyja udzielona produktom Kanady na targach Wielkiej Brytanii, protekcyja dla miejscowych rękodzieł, związek prowincyj angielskich, zaprowadzenie niepodległej federalnej rzecypospolitéj, a nareszcie połączenie ze Stanami Zjednoczonymi i to był podług ich zdania jedyny skuteczny środek. Takie jest w rzeczy samej, stopniowe postępowanie i prawdopodobny koniec téj sprawy. Anglia już oddaw-

na wyrzekła się niszczącego systematu protekcyi; teraz chce skojarzyć związek wszystkich osad swoich; zezwoli nareszcie na rzeczpospolitą niepodległą, a od niej do połączenia się ze Stanami, jest tylko krok jeden. Zdrowy rozsądek Anglii, zaczyna to pojmosować: rozwiązuje powoli, a nareszcie zerwie to wątkę i sztuczne ogniwo, które ją przywiązuje do osad. Zaraz potém, obie Kanady złączą się ze Stanami Zjednoczonymi.

*29go października.*

Pożegnałem się z Kanadą. Odjeżdżam do Chikago, ztamtąd udam się do północno zachodnich stron Stanów Zjednoczonych. Jadę nie koleją żelazną, lecz parowcem z Toronto i już od trzech godzin przebywam szluzy długiego kanału, ciągnącego się wzdłuż wodospadu rzeki świętego Wawrzyńca. Mieszkańcy Montrealu wyprawili dziś ucztę dla delegowanych wszystkich prowincyj, miano długie mowy w duchu rojalistowskim, lecz deputowani nie wyrzekli ani słowa o skutku narad swoich: chcą je wprzód przesłać do ministerjum angielskiego.

Mrok się zbliża, trzeba porzucić pióro. Jużemy przebyli ze dwanaście szluz, a jeszcze nie ma końca. Rzeka Śgo Wawrzyńca ma olbrzymie spady. Na niezmierzonej okiem płaszczyźnie, pośród tysiąca wysp, rzeka toczy się tak gwałtownie, jak potoki gór spadające; lecz nie będę wam opisywał jednej z największych rzek na świecie. W téj porze jesiennéj, wśród pól i lasów pozbawionych zieloności, zasypia opisowo-dydaktyczny duch podróżnika.

*3 listopada.*

Przeciągnęła się nasza żegluga i dopiero 1 listopada wpłynęliśmy na rzekę Sgo Wawrzyńca. Ujrzałem ją w nowéj postaci. Nad spadami, ogromna massa wody tak gwałtownie rozdziera się pośród wysp, iż cała jej powierzchnia wre jak morze wzburzone, a statek zaledwie płynąć zdoła pod wodę. Wyspy składają się z olbrzymich skał, pokrytych sosnowemi lasami, wśród których tu i owdzie widać chaty. Po ziemi wiją się krzaki czerwone jak krew, a ich liściom mróz nie szkodzi.



Kapitan statku zapowiedział nam burzę na rzece, lecz zawiódł się w rachubie. W Toronto odwiedziłem kilka osób, z którymi zaznajomiłem się dawniej; nie zbywało mi na rozrywkach i miłem towarzystwie, lecz w mieście nie ma nic do widzenia: jest na pół niezabudowane, pełno w nim jeszcze błota, chat i pustych placów, a przytem jest założone na wielką skalę i ozdobione kilką wspianiami gmachami. Dalszą podróż odbyłem koleją żelazną. Przeprowiłem się statkiem parowym przez wązki ale bardzo bystry kanał, którym wody jeziora Hurońskiego wpadają do jeziora Erie, a ztamtąd do rzeki Śgo Wawrzyńca. Znowu potem, koleją żelazną wzdłuż brzegów jeziora Michigan, już w kraju Stanów Zjednoczonych, dostałem się do Chikago. W drodze spotkała mię nie miła przygoda. Rzeczy moje zostały w wagonie i nie wiem kiedy je odbiorę. Podróż nasza była bardzo monotonna, jak zwykle w tych krainach Ameryki. Widać same tylko niezmierzone płaszczyny, lasy, gdzie niegdzie wioski, osady i kawały roli wykarczowanej po obu dwu stronach kolei żelaznej. Przekonałem się, że Wyższa Kanada jest jeszcze dzika a stan Michiganu mało zamieszkały. Ogromna masa ludności mogłaby tam znaleźć utrzymanie. Ta jednostajność nudzi podróżnego, ale sprzyja postępowi rolnictwa. Wiadomo, że w Ameryce kolonizacya idzie w ślad za drogami żelaznymi. Niech jeszcze dwiema lub trzema kolejami przetną ten półwysep otoczony jeziorami, a ludność będzie tam osiadać gromadnie. Ameryka w istocie na to jest przeznaczona, żeby nasycać chciwość i dumę bez granic. Przyrodzone zawady nie tamują ruchu ludów, niema bezużytecznych i niepotrzebnych dziwów natury. Od zatoki Meksykańskiej, aż do wielkich jezior, od gór Alleghanów, aż do gór Skalistych ciągnie się niezmierzona płaszczyna. Żadna inna ziemia nie jest stosowniejsza dla napływu i wzrostu ludności i do nagłej cywilizacyi! Podziały i właściwe cechy narodów, nie mogą zakorzenieć się na nią; jedność amerykańska wszystko w sobie pochłania.

Miasto Chikago było przed trzydziestoma laty nędzną wioską zamieszkaną przez Indian. Dziesięć lat temu liczyło 34000 mieszkańców, w 1865 110,000, a teraz docho-

dzi do 180,000. Jest stolicą krain zachodnich, wielką przystanią emigracyi na drodze do stepów, ogniskiem licznych kolei żelaznych i kanałów, składem handlu prowadzonego przez jeziora, szczęśliwym rywalem miast Sgo Ludwika i Cincinnati. Wyprowadzają ztamtąd węgle, żelazo, drzewo budowlane, skóry, solone mięso, a mianowicie zboże i przezwano je Odessą Ameryki. Tak samo jak Nowy Jork, jest kotłem, w którym stapiają się i jednocześnie wychodzą wszystkich narodów. Prawie z przestraczem wyobrażam sobie, czém będzie to miasto za lat pięćdziesiąt.

Przechadzałem się pośród tego nagromadzenia domów i placów, rozdzielonych szerokimi i długimi ulicami. Panuje tam czynność i ruch taki sam, jak w Nowym Yorku, lecz bez natłoku i wrzawy. W Nowym Yorku dzielnica handlowa jest bagnem zawałoném towarami; w Chikago beczki i skrzynie stoją przy zwirowej ulicy a obszerne miejsce rozstaje dla przechodzących. Domy są wspaniałe i wielkie, a między niemi odznacza się bazar. Jednakże widać, że to jest miasto nowe i nagle zbudowane; pełno w niém uderzających sprzeczności: bruk i błotniste ulice, chodniki z balów, obok granitowych. Mieszkańcy mają minę wieśniaków wystrójonych; jest to zwyczajna cecha ludności krain zachodnich. Ludzie grubą odzieżą okryci, jadą wytwornymi powozami. Nareszcie tak samo jak w Otawie, o kilka kroków za głównymi ulicami, są pola i biedne drewniane domki. Tam gnieździ się ludność irlandzka i niemiecka, zupełnie jeszcze nieokrzesa.

Pan, z którym zaznajomiłem się w Saratoga, zaprowadził mię na to smutne przedmieście, gdzie są wielkie jatki, gdzie zabijają codziennie tysiące wołów i wieprzów i przyrządzają pekeflejsz. Nie będę wam opisywał tych drżących mięs i tych kadzi krwią napełnionych. W ciągu kilku minut, zwierze porwą, zabiją, obedrą ze skóry, oskrobia, wnętrzności oczyszczą i zawieszają na haku pod szopą, obok niezliczonego mnóstwa innych już zarzniętych. Przez podział pracy, doszli do takiego stopnia pośpiechu i doskonałości. Oprawiający obłani są krwią od stóp do głowy. Bez litości patrzą na zarzynanie wieprza; ich okropne krzyki budzą we mnie sam tylko niesmak, lecz nie mogę znieść bolesnego ryku wielkich wołów, gdy młotem wbi-



jają im w głowę klin stalowy. W inném miejscu, murzyni olbrzymiego wzrostu, przecinają toporami krew pływającą, których kawały spadają otworem do niższego piętra gdzie je solą i pekują. Ten okropny przemysł, jest główném źródłem bogactwa Chikago.

Za powrotem szliśmy przez długą ulicę, ciągnącą się nad brzegami jeziora Michigan. Stoją tam piękne domy otoczone ogrodami. Nieco dalej jest dzielnica handlowa, pełna wrzawy i ruchu, otoczona z trzech stron jeziorem i dwoma korytami rzeki. Wielkie statki parowe przybywają z jezior i odpływają bezustannie. Rzeka tworzy port naturalny, ciągnący się pięć mil angielskich, aż do jej ujścia. Wzdłuż niej stoją składy na zboże, którego, jak mi powiadano, ogromna ilość wychodzi do Stanów Południowych i za granicę. Przypadkiem poznałem jednego z najznakomitszych kupców tutejszych. Jest to człowiek wysoki, chudy, kościsty, z czołem poważném, posępném; rysy twarzy ma ostre, spojrzenie ponure i wyrachowane, twarz nie znającą uśmiechu; przytém jest grzeczny i gościnny, lecz tak oziębły i surowy, iż podobniejszy jest do posągu, niżeli do człowieka. Ubiera się we frak czarny co niedziela i regularnie jest na nabożeństwie w kościele, do którego budowy przyłożył się. Mówią że jest bardzo wspaniałomyślny, że dał znaczne summy na wykup powołanych do wojska.

Wczoraj przy obiedzie opowiadał mi, że w spekulacjach traci się nie raz cały majątek. Ja sam, rzekł, trzy razy bankrutowałem i trzy razy zostałem bez grosza. I cóż? a to mówiąc nalał sobie kieliszek, nie byłem więcéj zakłopotany jak dziś, gdy piję ten kieliszek szampańskiego wina. „I nie przykrzy się panu, ta gra niebezpieczna? zapytałem się. Teraz kiedy pan wypłynął na wierzch, czy nie zabezpieczysz się od nowéj katastrofy.“ „Być to może, odrzekł: już się starzeję. Ale jeżeliby trzeba było zacząć pracować na nowo, nie lękałbym się takiéj doli. Trzeba mieć rozum, odwagę, przebiegłość i czelność, a za ich pomocą znowu wydostaniemy się z upadku.”

Cóż powiesz na to proste wyznanie, bez udanéj skromności? Spekulacja jest w Ameryce jedną z sztuk wyzwo-  
lonych, albo raczéj jedyną sztuką. Gdy w Europie, bankrut

jest człowiekiem zgubionym na zawsze, w Chikago nie ma ani jednego negocyanta i bankiera, któryby dwa lub trzy razy nie bankrutował. Najznaczniejszy z nich jest p. S., który tak samo bankrutował. Rzecz osobliwa, że liczne oszustwa kompanii przemysłowych, nie odstręczają publiczności. Widać, że pieniądz łatwo tam przychodzi i że nie ma dlań innego użycia prócz handlu i przemysłu; ziemię bowiem każdy może dostać bezpłatnie, kto ją dobywać i uprawiać zechce. Amerykanie nawykli do szybkiego z bogaceniem się i do upadku, nieczmiernie są obojętni na takie katastrofy. Na każdego przyjdzie kolej, myślą sobie; nieraz wdają się w interesa z oszustem który ich obdarł i myślą, że im się lepiej powiedzie. W najgorszym razie, stepy ciągnące się aż do brzegów oceanu Spokojnego i kopalnie Kalifornii, stoją dla nich otworem.

